Tom X. Nr. 12.

21. Kwietnia 1864.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Dzwony krośnieńskie.

W mieście Krośnie huk ludu zbiegło się na odpust z rozmaitych stron. Włościanie z równin w białych sukmanach, w okrągłych kapeluszach białą wstążką przepasanych, a ozdobionych pawiemi piórkami i bukietami z robionych kwiatów. Włościanki odziane bieluchnemi jak śnieg rantuchami, w krasych chustkach na głowie, — dalej górale w bronzowych guńkach, obcisłych spodniach i snurowych kierpcach. Szerokie ich pasy nabijane gęsto mosiężnemi guzikami, na głowach kapelusiki okrągłe, sznurkiem zamorskich muszelek opasane, w ręku siekierki stalowe. Góralki w niebieskich, różowych i czerwonych spodnicach, w żółtych butach na wysokich korkach, w gorsetach kwiecistych i czerwonych chustkach, a w białe otulone rantuchy. To znów mieszczanie z Jasła, Krosna, Frysztaku, z Gorlic nawet, w długich kapotach i wysokich czapkach. Górale rusini w szarych guniach, Węgrzy sąsiedzi w obcisłych spodniach i kaftanach gęsto wyszywanych sznurami, w węgierkach taśmami wzorowanych i Słowacy w szerokich

szarawarach, w koszulach jak śnieg białych czerwonemi i czarnemi deseniami ze sznurków wyszytych, w kapeluszach z ogromnie szerokiemi skrzydłami.

Pomiędzy nimi snują się urzędnicy w malutkich czapeczkach urzędowych i żony ich postrojone, i szlachta z okolicy i rządzcy, ekonomowie, xięża polscy i ruscy, Reformaci z Zakłuszyna, Bernardyni z Tarnowa, Kapucyni z Rzeszowa, a obok tego mnóstwo żydków przybyłych z różnych miasteczek z towarami na odpust, który zbiegł się razem z jarmarkiem. Słowem miasteczko zapełnia lud tak różnorodnie strojny, że się zdaje jakoby to było zgromadzenie narodów pod wieżą babilońską.

Na rynku ogromnym setkami stoją kramy, czego tylko dusza zapragnie wszystkiego tam dostać można. Tu sprzedają różne perkaliki i płócienka, sukna i płótna, chustki kraciaste wełniane i czerwone tureckie w żółte palmy. Tam wstążki, korale i paciorki wszelkiego koloru wiszą w pęczkach, koronki i różańce, kwiatki robione, pawie piórka, krzyżyki, medaliki, pierścionki i piszczałki, drumle, nożyki, skrzypce i czapeczki dla dzieci malutkich i czapki wełniane. Po drugiej stronie żydzi czapnicy rozłożyli swój towar na półkach różnej formy i różnego koloru, rogate i okrągłe, chłopskie, wojskowe, pańskie, z daszkami i bez daszków. Dalej sprzedają kożuchy polskie i węgierskie. Obok kramy z piernikami i cukierkami, a przy nich gotują wieprzowinę, smażą kiszki i kiełbasy, aż dusi zapach tłustości. Tu szynkują kawę z mlekiem, tam wiejscy piekarze sprzedaję kukiełki i kołacze z serem. Owdzie zasiedli kramarze Niemcy i na sznurach rozwiesili mnóstwo obrazów świętych, na płótnie i papierze jaskrawo malowanych. Szewcy z butami i trzewikami. Górale z sprzętami i naczyniem drewnianem. Węgrzy z bryndzą, śliwkami i powidłami. Jednem słowem niebrak niczego i byle człek miał pieniądze, może nakupić wszystkiego do woli.

A przy propinacyi miejskiej tłok i ścisk jak pod kościołem. Mój Boże cisną się ludziska do przeklętej gorzałki bardziej niż na odpust. Wewnątrz muzyka przegrywa i słychać krzyki pijaków i śpiewy dolatują przez okna a chociaż dopiero

dziesiąta przed południem, już nie jeden spił się i jak bydle leży bez duszy. Tak to ta przeklęta gorzałka, pomimo że na nią zewsząd wymyślają, pomiędzy ludźmi dokazuje.

A na środku rynku pod austeryą, stała duża gromada ludzi z nizin przybyłych i rozglądali się po wszystkich stronach gawędząc wesoło.

W tem nadszedł xiądz reformat, a pochwaliwszy Pana Boga zapytał sędziwego sołtysa:

— Powiedźcież moi mili ludzie, czyście z daleka przyszli.

— O z daleka, odrzekł sołtys, aż z Niewodnej.

— A pocóżeście tutaj przyszli?

— Po cóżby, proszę jegomości, tylko na odpust.

— Hm, na odpust, odrzekł xiądz, prawda, ale jakoś tego zupełnie nie znać po waszych twarzach, bo zamiast stać pod kościołem i czekać rychło wyjdzie suma, tłoczycie się przed karczmą. I oto kilku pijanych przewraca oczyma, jak gdyby zły duch ich opętał.

Zawstydzili się trzeźwi, sołtys chciał coś powiedzieć na obronę gromady, ale mu słowa zamarły na ustach. Więc zamilkł a tylko westchnął, a xiądz prawił dalej:

— Dziwnie wy moi ludzie pojmujecie odpust, porzucacie wieś swoją na kilka a czasem i kilkanaście dni i idziecie z krzyżami i świętościami daleko, a przyszedłszy na miejsce zamiast w pokorze czynić pokutę, puszczacie się na pijaństwo i zbytki, i jeszcze zamiast łaski, ściągacie na siebie gniew Boży. Odpusty są nadawane przez Ojca świętego aby ludziom dać sposobność czynienia pokuty i zyskania odpuszczenia grzechow, ale kiedy kto idzie po to tylko na odpust, żeby się upić i nabroić złego, a drugich gorszyć, to stokroć lepiej żeby siedział w domu i pracował na kawałek chleba. Włóczęga po odpustach bez prawdziwej intencyi, i zanadto częste odwidzanie miejsc świętych dla zmarnowania czasu i grosza, pewnie nie wyjdzie na pożytek duszy, lecz na jej zatratę.

— Dobrze to jest, proszę jegomości, odrzekł sołtys, ale jakże nie iść na odpust, jeżeli się gdzie w okolicy odbywa. Praca potrzebna dla ciała, ale modlitwa potrzebna dla duszy, jako codzienna strawa.

— Prawda to jest, rzecze zakonnik, ale nie rozumiecież źle moich słów. Nie mówię ja przeciw odpustom, bo jakżebym śmiał mówić nosząc tą szatę kapłańską, mówię tylko przeciwko zbytecznym włóczęgom po odpustach. Z tysiąca ludzi idących na miejsce święte, śmiało powiedzieć można, że stu ledwie ma prawdziwą intencyę, a reszta po to tylko idzie, ażeby nie robić w domu i przepić pieniądze krwawo zarobione. Obejrzyjcie się po rynku, do koła widać kramy wszelkiego rodzaju, muzyka gra w szynku a z niego jak z przepaści piekielnej dzikie dolatują głosy, głusząc nawet dźwięk tych prześlicznych dzwonów krośnieńskich.

A właśnie w ową chwilę dzwoniono na sumę. Srebrzysty a prześliczny głos dzwonów, cudownym dźwiękiem napełniał powietrze.

— Na kolana bracia moi, zawołał zakonnik, ukorzcie swe głowy przed Panem Zastępów i proście go o zlitowanie i odpuszczenie nam win i grzechów naszych.

Więc wszyscy na kolana upadli i powtarzali za kapłanem słowa modlitwy, a serca ich skruszone napełniła błogość i spokój święty.

Po skończonej modlitwie odezwał się sołtys do zakonnika w te słowa:

— Nie wiem co to jest, proszę xiędza dobrodzieja, że ile razy słyszę te dzwony — a słyszałem je z piętnaście razy — to coś dziwnego ze mną się dzieje: tak wszystko drzy we mnie jakobym miał ujrzeć jakiego świętego. Głos tych dzwonów tak śliczny, jak gdyby święci aniołowie śpiewali w niebie; muszą to być jakieś cudowne dzwony.

— Oj pewnie, że cudowne. Czy to nie słyszeliście ich historyi?

— Nie słyszałem dobrodzieju, a radzibyśmy ją usłyszeć, bo musi być bardzo piękna. Gdyby była łaska jegomości opowiedzieć ją gromadzie, to byśmy byli bardzo radzi usłyszeć.

— Zgoda bracia moi, ale dopiero po nabożeństwie, bo dzisiaj mam mieć kazanie, a właśnie przedzwoniono na sumę.

Po nabożeństwie gromada z Niewodnej, zebrała się na rynku pod ratuszem, kędy podług obietnicy xiądz Dydak, re-

format Zakłuczyński miał przybyć, aby opowiedzieć ludziom o krośnieńskich dzwonach. Jakoż w pół godziny potem zjawił się zakonnik i tak opowiadać począł:

— Lat temu już bardzo wiele, za panowania polskich królów, jak Krosno było już dużem miastem nawet większem jak dzisiaj, bo trzeba wam wiedzieć moi ludzie, że wówczas wiele miast naszych podgórskich miało się bardzo dobrze z powodu bardzo rozszerzonego handlu z Węgrami. Ot i Biecz na przykład co dziś jest nędzną mieściną, był miastem wielkiem, z pięknemi kościołami, tak że go drugim Krakowem nazywano.

Podówczas żył w Krośnie zamożny mieszczanin, prowadzący bardzo wiele wina z Węgier do Polski. Miał on się bardzo dobrze, bo na tym handlu duże zrobił pieniądze.

Nie miał on dzieci, ani blizkich krewnych, więc też majątku swego używał na wspieranie ubogich i jak tylko kto był w potrzebie, skoro udał się tylko do starego Mateusza, z pewnością hojnie uzyskiwał wsparcie.

Nie było jeszcze w ten czas w Krośnie tej wspaniałej fary, w której się dzisiejsze nabożeństwo odprawia; stał wprawdzie kościół parafialny, ale daleko mniejszy, i już upadkiem grożący, a mieszczanie przemyśliwali nad tem jakby znaleźć fundusz na wystawienie nowego kościoła.

Mateusz właśnie powrócił z winem z Węgier, kilkanaście bryk zajechało przed bramę, a parobcy spuszczali beczki do piwnicy. Stary dozorował roboty a niekiedy sam uchwycił za sznur, jeżeli beczkę za nadto prędko po wschodach spuszczano.

— Jegomość, zawołał nagle starszy parobek, co to może być w tej beczce, co tak okrutnie ciężka, że ani z wozu dźwignąć jej nie można?

— Cóżby było, tylko wino, odrzekł Mateusz, znać nie chce wam się już brać do roboty, skoro narzekacie na ciężar.

— Gdzieżbyśmy się znów lenili, toć przecież człowiek nie pierwszy raz dzisiaj przy robocie, ale niechaj jegomość sam sprobuje.

Mateusz poszedł ku wozowi i ujął silnemi rękami beczkę od jednego dna, ale jej nawet poruszyć nie mógł.

— Czy czary, czy co, zawołał zdziwiony Mateusz, a toż

ona najmniej z dwadzieścia centnarów waży. Hej! weźcie się wszyscy, toż jej przecie damy radę.

Z niezmiernym mozołem spuszczono beczkę na ziemię, a Mateusz rzekł:

— Podajcie mi siekierę, odbijemy szpunt, bo mi się widzi że się Węgier omylił i zamiast wina nakładł w beczkę ołowiu.

Skoro odbito szpunt, Mateusz ujrzał w beczce dukaty. W jednej chwili zabił szpunt na nowo, przewrócili beczkę i odbito dno. Cała była napełniona dukatami.

Natenczas stanął jak skamieniały, dziw nad dziwy, złoto zamiast wina.

Stary Mateusz pomyślał trochę, potem rzekł:

— Widno że się Węgier omylił, trzeba mu własność jego powrócić.

— A to na co, zawołał jeden ze starszych krewniaków, mógł Węgier lepiej patrzeć co wam sprzedawał. „Kto nie dopatrzy okiem, dołoży workiem.“ Co dał Bóg, to bierzcie.

— Wstydź się Józefie grzeszyć niepoczciwym językiem, rzekł stary Mateusz, jeszcze się nie pokazało, żebym kogo na grosz ukrzywdził. Cudza własność dla każdego powinna być świętą i nietykalną. Czyś to zapomniał o siódmem przykazaniu Boskiem „nie kradnij.“

Józef spuścił głowę a stary Mateusz natychmiast ową beczkę kazał włożyć na wóz i wziąwszy do straży dwóch najwierniejszych parobków, pojechał z powrotem na Węgry.

W trzy niedziele potem ujrzano Mateusza z tą samą beczką dukatów wracającego do Krosna Obok na wozie siedział Węgier, tęgi pięćdziesięcioletni mężczyzna.

I stanęli oba przed rajcami grodu Krośnieńskiego najwyższymi urzędnikami miasta Krosna, a Mateusz tak mówił:

— Sławetni rajcowie! Od tego tu stojącego kupca kupiłem na Węgrzech sześćdziesiąt beczek wina, pomiędzy niemi znajdowała się beczka napełniona dukatami. Pieniądze te snać do niego należą, ale on się wypiera i do nich przyznać nie chce. Otóż dopraszam się aby go sławetny gród zmusił do przyjęcia napowrót beczki z pieniądzmi, bom ja wino kupował.

A Węgier mówił: Sławetny grodzie, ja sprzedałem wino,

ale nie złoto, więc go nie przyjmę na powrót, i słuszna jest rzecz, aby on wziął pieniądze.

Tedy rajcowie pochwalili cnotę obydwóch, ale się bardzo nad nią nie dziwowali, boć to w owych czasach była u nas rzecz bardzo zwyczajna, a ponieważ dojść nie można było, jakim cudem przemieniła się beczka wina w beczkę złota, a winiarz w żaden sposób złota przyjąć nie chciał, osądzili aby Mateusz złoto zabrał.

Mateusz zaś skłoniwszy się rzekł:

— Sławetni rajcowie, złota cudzego nie przyjmę, ale kiedy już pan Bóg tak dał, niechże ono służy na sławę Jego przenajświętszą. Za te pieniądze wymurujemy z kupcem węgierskim kościół w Krośnie.

Więc wystawiono ten wspaniały kościół który bracia moi oglądacie, sprawiono wszystkie porządki, ale się i tak dużo jeszcze pieniędzy zostało. Naradziwszy się tedy coby z niemi uczynić, zakupili za resztę pół srebra, pół spiżu i dali ulać te dzwony, które takim prześlicznym głosem do dziś dnia wzywają wiernych na nabożeństwo, a są wiecznym świadkiem poczciwości i cnoty dawnych mieszczan polskich.

Powiedzcież mi moi kochani ludzie, ażali dziś jest taka poczciwość na świecie? czy przy dzisiejszem zepsuciu znależliby się ludzie niechciwi na cudzy grosz i łatwo zrzekający się dla czystości sumienia ogromnej fortuny. Dzisiaj jest świat zepsuty, a ludzie dla grosza gotowi dopuścić się największej zbrodni.

Módlmy się bracia do Pana Boga i prośmy go serdecznie, ażeby się nad nami zlitował i Duchem świętym natchnął nas ku cnocie i poczciwości, a ile razy który z was poczuje pociąg do przywłaszczenia sobie cudzej własności, albo szukania niecnego zarobku sprzedaniem własnego sumienia, niechajże mu staną w myśli „Krośnieńskie dzwony.“

Proces.

Wawrzek śrebrnych sto reńskich był winien Maćkowi,
Maciek, dwie pięćdziesiątki za łąkę Wawrzkowi,
Nie chcieli się pogodzić, dalej więc w procesa,
A żeby lepiej w sądzie poprzeć interesa,
Dał Maciej adwokatom najpiękniejszą krowę,
A Wawrzeniec z kulbaką źrebną klaczkę płową,
Lecz mimo tych kubanów trwał proces lat parę,
Za taxy Wawrzeńcowi sprzedano czamarę:
Maćkowi także buty i kaftan zabrano,
Nareszcie wyrok wydano:
„Iż, gdy dług Maćka równy, Wawrzeńca długowi,
Więc Maciej nic nie winien Panu Wawrzeńcowi“
Obadwa nie przegrali, lecz więcej stracili,
Bo już przed wyrokiem bez butów chodzili,
Adwokat jeździł klaczą, piękną doił krowę,
Lecz zato przy dekrecie powiedział im mowę:
„Iż lepiej choć ze stratą przecież się pogodzić,
Niźli w procesa wchodzić!“

Powrót z jarmarku.

Kuba w bliskiem miasteczku piękne byczki kupił,
Wypił litkup podwójny więc się tęgo upił,
Zdjął kożuch, nakrył byki, bo go wódka grzała,
Legł w kałuży, bo mu się pierzyną wydała,
Tym czasem nadszedł złodziej, i korzystał z pory;
Swinkę w błocie zostawił, byki pognał w bory,
Później Kuba się zbudził, — chcąc byki gnać dalej,
Hej byciu! hej! hej! krzyczy, kijem w kożuch wali,
Aż go podziurawił, lecz ten nieruchomy.
W tem z jarmarku nadchodzi gospodarz znajomy,
„Co robisz?“ — „byki gonię“ — „A gdzież są te byki?“
Ocknął się, — darmo płacze i wyrabia krzyki,
Daremnie wszędzie byków długi czas szukano,
A Kubę odtąd w drwinkach „byciem“ nazywano.

Zmartwiony, wyśmiany, poprawił się Kuba,
Wkrótce handlem przy statku nadgrodzona zguba,
Stateczny gospodarz opływał w dostatki,
Dla przykładu tej powieści sam nauczył dziatki.

Przy źle nabytem i swoje się traci.

Gospodarzowi bydło zdychało,
Uwiązał bydło pod lasem,
Poszedł po paszę bo brakowało,
Gdy nadszedł złodziej tymczasem,
Ukradł krowinę, do dom wprowadził,
Nabył zarazę, sam siebie zdradził,
A że wszystkie razem stały,
Co do jednej wyzdychały.
„Cudzem się człowiek nigdy nie zbogaci,
Przy źle nabytem i swoje traci!“ *T. o.*

Babskie leki.

Nic gorszego na świecie jak baba co się bierze do leczenia chorych, a głupia jak sak, nie zna ani choroby, ani leku i chorego na tamten świat wyprawia. Żebyście mieli tyle złotówek, ile głupie baby zgubiły ludzi ze świata, tobyście mogli najpiękniejsze wsie zakupić w kraju.

Bo zkądże baba może wiedzieć co radzić i jak radzić, kiedy się lekowania nauczyła od takiej samej głupiej jak ona. Weźmy na ten przykład człowieka co nie umie ani czytać ani pisać, dajmy mu w rękę pióro i papier i każmy napisać list. Stanie on jak ciele i nie będzie wiedział co robić a chociażby się uwziął i począł gryzmolić po papierze, to tego nikt nie przeczyta. Tak samo też i baba, nie zna ani jednej żyłki w człowieku, nie wie w którem miejscu jest śledziona albo nerki albo inne wnętrzności, a chce leczyć i przez to też ludzi zabija.

U nas jest to mocno zabronione, ale przecież nie ma parafii, żeby nie było baby lekarki, co jak zbójca gubi ludzi ze świata. Dla przykładu opowiem wam o jednej takiej lekarce, co nie mało ludzi na tamten świat wyprawiła.

W jednej wsi zachorowała kobieta, matka pięciorga dzieci. Z początku mąż chorej zamiast iść do dworu i prosić o pomoc, albo też pójść do miasta i sprowadzić doktora, co się już całe życie uczy leczenia ludzi i zna najmniejszą żyłkę w człowieku, udał się do wiejskiej lakarki; dopiero kiedy się niewieście bardzo pogorszyło, widząc że leki zadawane przez babę nic nie pomagają, pobiegł do dworu i opowiedział dziedziczce rzecz całą. Właśnie był tam doktor z miasta, który przybył do chorego dziecięcia. Natychmiast udali się oboje do chaty Marcina. Skoro doktor obaczył Marcinowę, poznał zaraz że jest bardzo chora i że trudno będzie uratować ją od śmierci. Wedle niej uwijało się jeszcze obrzydłe babsko. Doktor przystąpił do łóżka chorej i zapytał coby ją najbardziej bolało.

— Okrutnie mię pali na wnętrzu, wyjęczała chora.

Doktor kazał położyć się Marcinowej na wznak, po czem długi czas pukał po piersiach i żywocie, przykładał ucho do pleców i piersi, kazał jej wzdychać, wreszcie rozpoznawszy dobrze męczącą ją chororobę, zapytał:

— Czy ci dawano wódkę?

Marcinowa zaczerwieniła się okrutnie, a potem rzekła:

— Ej nie, proszę pana, nijakiej wódki nie piłam.

— Nie bój się moja kobieto, rzekł doktor, wódka jest pomocną czasami, więc wiem że ją często dają po wsiach chorym, mianowicie też na boleści. Powiedz prawdę, bo mi o to tylko chodzi, żebym się dowiedział, czy ci dawali wódkę czystą, czy zaprawną, czy zimną, czy grzaną?

— Dawali mi trochę grzanej, odpowiedziała Marcinowa, zwijając się od boleści.

— Wiele też jej być mogło?

— Ha, było może półkwaterek cały.

— Czemże ta wódka była zaprawna?

— Nic nie było, jeno trochę tartego imbieru i dziewięć ziarnek pieprzu.

— Okrutna rzecz, zawołał doktor, kobiecie chorej na zapalenie kiszek dawać wódkę z pieprzem i imbierem. — A co też jadłaś?

— Cóżby ja też jadła, kiedym okrutnie chora, rzecze Marcinowa.

— Ale przecież ja wiem, żeś jadła i to pewnie wczoraj na wieczór.

— Co prawda, tom tylko małą odrobinę zjadła jajecznicy z kiełbasą, bo mi bardzo pachniała. Więc Kazimierka, ta ona kobieta co mię lekuje, usmarzyła po sześciu jajach na świeżéj sperce, w nowym garnku. Kazimierka mówiła, że koniecznie trzeba bólowi dogodzić, boby mógł się obrócić na wnętrze i pokręcić kości i powykrzywiać członki. Więc zjadłam ryneczkę i może ćwierć łokcia kiełbasy.

Wtedy doktor załamał ręce i rzekł do dziedziczki:

— Patrz pani co oni z tą kobietą uczynili. Prawdziwie cud będzie, jeśli ją od śmierci wybawię. A potem odwróciwszy się do Kazimirki z gniewem krzyknął: Niegodziwa, jak śmiałaś zabijać matkę pięciorga dzieci?

— Ej, kajbyż ja ją miała zabijać, zawołała Kazimierka, przecię nie pierwszy raz leczę niewiasty i poświadczą mi tu wszyscy na całą okolicę, żem ja nikogo nie zabiła.

— Zabiłaś ją wódką z pieprzem i kiełbasą z jajecznicą. Dam ja wam niegodziwe baby trudnić się leczeniem, a teraz ruszaj mi za drzwi i nie pokazuj się tu więcej. Poczem zajął się chorą.

Dwa tygodnie leżała Marcinowa gdyby martwa kłoda, i dopiero przy wielkich staraniach doktor wyleczył ją z tej niebezpiecznej choroby. Gdyby się był doktor spóźnił jedną godzinę, jużby było po kobiecinie.

Kazmirkową wsadzili do więzienia, a gdy się wydało w inkwizycyach, że nie jednego już wyprawiła na tamten świat swojem głupiem leczeniem, sąd skazał ją na pięć lat ciężkiego więzienia. *(Km.)*

Rady gospodarcze.

Co robić aby krowy więcej mleka dawały?

Przeszłej niedzieli byłem sobie po południu u Marcina Grzezułki, owego zacnego gospodarza na pogadance gospodarskiej, z której człek wiele może odnieść pożytku i nauki.

Owoż pomiędzy innemi rzeczami gadaliśmy sobie o naszych krowach.

— I nie wiecie wy też przypadkiem — zagadam ja do Marcina — jakiego sposobu aby krowy więcej mleka dawały, bo moje na nieszczęście jakoś bardzo mi go teraz skąpo dostarczają?

— Aj cóż wy zaś sobie myślicie mój Józefie — przemówi Marcin — żeby dobry gospodarz nie wiedział na to sposobu? Moje krowy dzięki Bogu nie skąpią mi mleka, umiem ja sobie radzić doskonale, bo czytam książki i dowiaduję się jak to inni rozsądni robią gospodarze.

— Toć udzielcie i mnie przecie — powiem do Marcina — jakiej wiadomości o tem, a kiedyś to się wam za to serdecznie odwdzięczę.

A Marcin zaraz na to:

— I wy nauczyliście mię już nie jednego, i wam też wszystko opowiem do odrobiny, bo dobrej rady nigdy taić nie trzeba, wedle której postępując można sobie przysporzyć grosika. Jeden zaś człowiek o wszystkiem wiedzieć nie może, musi zawsze zasięgać rady drugiego.

— Będzie to dla mnie pożyteczną rzeczą — przemówię po chwili — wiedzieć o takiej dobrej nowinie.

— Otoż moiściewy — zaczął opowiadać Marcin, przeszłego jeszcze roku czytałem jednę książkę gospodarską, a z niej dowiedziałem się wiele nowych rzeczy. Stało tam także i o krowach. Pewien gospodarz miał kilkoro krów, a z tych niektóre daleko więcej jak inne dawały mleka, chociaż wszystkie jednakowo były pielęgnowane.

Zachodził on w głowę coby to znaczyć miało, aż naresz-

cie dowiedział się o całej tajemnicy. Parobek, który wydajał owe krowy, miał szczególny sposób dojenia, co w największym trzymał sekrecie.

Zaś cały ten sekret był taki: Kiedy szedł do dojenia, obwijał sobie palce miękką, wilgotną skórą albo niekiedy płótnem i tak łagodnie pociągając naciskał wymiona. Krowa zaraz po odsadzeniu cielęcia nie mogła rozpoznać czy ją ciele ssie, boć to było zręczne udanie. Takim sposobem oszukiwane krowy więcej dawały mleka aniżeli te, które dziewki wydajały. Myślały one, że gdy będą kościstemi palcami mocno wygniatać. wymiona, to od krów więcej wydobędą mleka, a to tymczasem zrażone krowy jak najmniej go dawały.

— Alboż ja to sam nie widziałem — rzeknę do Marcina, jak dziewki nasze gniotą niemiłosiernie wymiona krowom.

— O, to bardzo szkodliwie! — zawoła Marcin — bo przez takie ściskanie krowa często ma boleści w wymionach, które się kurczą a przez to mleko do krzty w nich wysycha.

Gospodarz kazał później szkolarzom porobić paluchy z gumy, poczem daleko więcej niż pierwej otrzymywał mleka.

— Ale któż wie czy to dla tego — powiem Marcinowi — krowy moje mniej dają mleka, że je dziewki doją?

— Są czasem i inne przyczyny — odpowie Marcin — gdy krowy mleko utracą. Ale i na to jest sposób. Lepiej go wiedzieć i używać jak sprzedać krowę rzeźnikowi. Robi się kataplazm z gliny i skrapia się go octem, potem tak skropionym kataplazmem okłada się wymiona krowie. Po jednej nocy już zaraz można widzieć skutek z tego sposobu leczenia, chociaż czasem i przez kilka nocy potrzeba robić takie obkładanie.

— Bóg by dał! odezwie się zaraz — żeby wasza rada mój Marcinie wyszła mi na pożytek, wtenczas to wszystkim ludziom opowiem o tem, a nagrodą dla was będzie gdy się niejeden za duszę waszą pomodli.

A że krówki moje przyszły do siebie, doją się kapitalnie więc też i wam moi ludzie donoszę o tym sposobie, który od Marcina słyszałem. Bóg mu zapłać za niego. *J.*

Przestawienie ula i pomnożenie pszczół.

Słaby rój można wzmocnić postawieniem go na miejscu ula gromadnego, który się nawzajem przeniesie na miejsce ula słabego. Ale robiąc to, trzymać się następujących przepisów:

1. Z ulów przestawiać się mających nie powinien być żaden bez matek, ani chorowity, bo wtedy na nicby się nie zdało.

2. Przystępować do przestawienia wtedy, gdy jest obfite miodobranie.

3. Dobierać do przestawienia ule podobne sobie wielkością, kształtem, kolorem i które niezbyt blisko siebie stoją.

4. Przestawiać ule po południu, gdy większa część pszczół jest w polu na robocie.

5. Chcąc nie dopuścić, aby jeden ul dwa razy się roił, trzeba go przestawić z innym ulem, w którym rój jest mały; wtedy znaczna część pszczół z ula gromadnego przejdzie do małego a u pierwszego ustanie chęć do rojenia. (*P. d.*)

RÓŻNOŚCI.

Mądra odpowiedź chłopa. „Czas i pieniądze wydane na wychowanie dzieci, zawsze są dobrze użyte-“

Tak się da rozumieć odpowiedź pewnego uczciwego wieśniaka, który zapytany jaki robi użytek z zapracowanych przez siebie pieniędzy, odpowiedział:

— „Rozdzielam je na trzy części Pierwszą część obracam na zapłacenie mych długów, drugiej używam na zaspokojenie potrzeb żony i moich własnych, a trzecią oddaję na procent.“

— Co chcecie przez to odpowiedzieć, zapytano go.

— „To rzecz najprostsza: pierwsza część przeznaczona na utrzymanie mych rodziców, to jest część obrócona na zapłacenie mych długów. Drugą używam na utrzymanie, a trzeciej części używam na wychowanie mych dzieci, i to są pieniądze dane na dobry procent.“

Głód. W wielu miejscach w Węgrzech nie przestaje panować pomimo wszelkich zabiegów komitetu dobroczynności najokropniejsza nędza, z powodu zeszłorocznej posuchy i nieurodzaju. Ze Szolnoka (w komitacie Siedmiogrodzkim) donoszą że ludzie padają tam z głodu po dro-

gach. W dniu 21 b. m. umarło 5 osób okropną śmiercią głodową. Klasztor i zamożniejsi mieszkańcy czynią co tylko mogą, aby biednym dać choć najnędzniejszy posiłek, lecz ogrom tamecznej nędzy przechodzi ich usiłowania. Dzienniki węgierskie opowiadają rozrzewniający przykład miłosierdzia. W Nagylak rozdzielono niedawno pomiędzy biednych zapomogę, nadesłaną przez komitet dobroczynności, między któremi znajdowała się biedna wdowa. Jeden z członków komitetu zapytał, czy dzieci jej chodzą do szkoły:

„Chodzą panie i uczą się pilnie, gdyż inaczej już dawno byłyby z głodu pomarły, bo ja im nie mam zkąd dać chleba“ odpowiedziała biedna.

Odpowiedź ta zdziwiła członków komitetu, którzy udali się do nauczycieli o wyjaśnienie, jakim to sposobem szkoła zgłodniałych nasyca, i pokazało się, że uczniowie między sobą, nieszukając żadnej chluby, żywili tajemnie dwunastu najbiedniejszych współtowarzyszy.

Dobra żona. Zacna jedna i rozsądna niewiasta, na zapytanie swej przyjaciółki, jakim sposobem utrzymuje stale miłość męża ku sobie, tak odpowiedziała: „sposób to bardzo prosty: przestrzegam jak najściślej obowiązków do mnie należących; uprzedzam wszystkie jego życzenia; wykonywam jego wolę, nie staram się nigdy poznać spraw, których nie ma ochoty mi powierzyć; słowem robie to co się jemu podoba, a znoszę cierpliwie wszystko, co mi się nie podoba.“

Jako niektórzy ludzie są silni. Już to temu pewnie trzydzieści lat, bom był jeszcze chłopcem u rodziców co pod Kaliszem mieszkali Zdarzyło się tedy, że przybyło jakichsiś trzech komedyantów i nuże dziwne rzeczy swej mocy pokazywać. To biorą centnary i jak pupką jaką nad głową wywijają, to szyny żelaza zginają, to jeden trzyma w zębach drąg a drugi na niego wchodzi a on jeszcze sobie z tem wszystkiem podryga i jakie tam jeno sz uki, oni to wszystko pokazywali a ludzie się temu wydziwić nie mogli. Aż tu w dzienniku, co wtenczas w Kaliszu wychodził, zapozywają oni mocarze, by się kto z jednym z nich spróbował a jeśliby go zmógł, wiele pieniędzy dać obiecują. Aliści nie długo na swego czekali. Wnet stało znowu w tymże dzienniku, jako jeden młynarz, co też mieszkał koło Kalisza, daje znać, jako nie jeno jednego, ale wszystkich trzech onych mocarzów bierze na siebie i wyznaczył czas, w którym się miał z nimi potykać Zebrało się na oznaczony czas wielu widzów i ja też poszedłem z mym ojcem, by się temu potykaniu przypatrzyć. Pamiętam jak dziś, gdy się nam przedstawił on młynarz nizkiego wzrostu, ale barczysty w krakowskim ubiorze. Aż tu wyskakuje onych trzech komedyantów i jeden z nich mówi: „Moi panowie, jak powiem raz, dwa, trzy, to ten pan musi być powalonym.“ I wnet młynarza obskoczą, jeden go chwyta z przodu za kołnierz, drugi tak samo z tyłu a trzeci z boku

koło biodra. Myślimy sobie, już tam po młynarzu: a jeden komenderuje raz, dwa i trzy — aż tu stoi młynarz, ale nie stoją oni komedyanci. Bo jeden leży przy nim i ma nogę złamaną, drugi w piecu dziurę wybił i sam bez duszy został, a trzeci między gości przyleciał i ledwo „her je“ zabełkotał. A młynarz wąsa pokręcił i nas szczerze pożegnał.

Pisanie gospodarzy Bachorskich do pisarza „Dzwonka.“

Kochany nasz panie pisarzu!

Już wyczytałem z waszego Dzonka bardzo wiele pięknych przykładów o postępowaniu wieśniaków z różnych okolic kraju naszego, otóż serdecznie mnie to boli, że w naszej wsi która leży na samym trakcie węgierskim nie daleko Dynowa, same tylko swary i kłótnie między wieśniakami, a dom Boży jest całkiem od nich opuszczony i tylko pobożne państwo o niego dbają. Przed czteroma laty mówił owczesny wójt że ma być postawiony nowy kościół murowany w Bachórzu, ale dotąd nic nie zrobiono bo w gminie niezgoda. Otóż prosili mnie gospodarze dobrzy, o poradę a ja was proszę panie pisarzu, abyście to moje pisanie wydrukowali w Dzwonku, bo Bachorzanie trzymają i czytają Dzwonek, może więc to pisanie moje pomoże co i zaradzi złemu. A tak oddajemy was Bogu i Najświętszej Pannie i życzymy wam zdrowia.

Kilku gospodarzy Bachorskich
2 kwietnia 1864.

Pisanie xiędza Załuskiego proboszcza z Brzozowa do pisarza „Dzwonka.“

Proszę umieścić w Dzwonku co następuje:

„Dnia 13. b m. pochowaliśmy zwłoki ś. p. x. Antoniego Kossaka, plebana w Grabownicy, kapłana gorliwego, którego strawiła żarliwość o chwałę Bożą i dobro zbawienne owieczek swoich. Jeszcze na Matkę Boską zwiastowania, choć już mocno słaby, miał sumę i naukę od ołtarza, przeczuwając, że już po ostatni raz naucza owieczki swoje, co im też wyraził. Jeszcze silny, liczący dopiero lat 52 wieku, a kapłaństwa 26 lat, żadną namiętnością nie nadwerężony, ledwie dni kilka zalegając łóżko, pomimo pomocy lekarskiej zasnął w Panu w ową niedzielę, na którą przypada ewanielia o dobrym pasterzu, co kładzie duszę za owieczki swoje. Parafianie na wiadomość o zgonie kochanego swego pasterza, zalali się łzami, kilkudziesięciu kapłanów, na których czele staruszek kapłan, wój nieboszczyka x. Ołko, pleban z Świlczy, przybyło na pogrzeb, równie też zacna sąsiednia szlachta nasza i szanowny kolator pobożnie uczcili zasługi zmarłego, tak że i na barkach swoich równie z kapłanami na przemian i parafianami ponieśli zwłoki szanowne do grobu. Oddali też żałobni kaznodzieje w trzech przemowach słuszną podziękę wszystkim obecnym, a osobliwie pobożności obecnych obywateli i kolatora Wgo Ostaszewskiego. Przeto z łaski Boga żałoba złączyła się z radością religijną i szczera ochota w nas kapłanach obecnych powstała, być gorliwymi w służbie Bożej, bo i tu pamięć dobra prac szczerych pozostaje u ludzi wdzięcznych. — Pokój Boży duszy twojej, kochany xięże Antoni.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.